

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

NAJLICZNIEJSZY NARÓD NA ŚWIECIE.

Opracowała Tomira.

(Dalszy ciąg).



Szkoła chińska.

Z takich trudności tylko człowiek roztropny i nawskroś znający przepisy etykiety chińskiej szczęśliwie wybrnąć zdoła, obcokrajowiec zaś, zostawiony własnym siłom, z pewnością jak najgorzej postąpi.

Pewien Anglik, chcąc odwdzińczyć się znajomemu za oddaną przysługę, ofiarował mu cenny upominek. Obdarowany stanowczo odmówił przyjęcia, mówiąc, iż pogwałciłby wszystkie pięć cnót głównych, biorąc za drobną usługę dar tak wspaniały. Dodaje przytem, iż krzywdzisz go nawet, nagradzając tak sowiecie, i że shańbiłby się, zgadzając się na to.

Tłumacząc jednak odpowiedź jego na język zwyczajny, mniej ceremonialny, rozumieć należy, że dar był za mały i przyjaciel spodziewa się, iż spostrzeżesz swój błąd i w przyszłości lepiej go wynagrodzisz.

Do rzędu najniebezpieczniejszych należą dary, ofiarowywane z okazji urodzin syna, np. zabawki dla dziecka, gdyż odwdzięczając się za pamięć należy koniecznie wydać ucztę, suto podejmując biesiadników, bez względu na opłakany nieraz stan kieszeni gospodarza.

Zdarza się, iż mieszkańcy jakiegoś miasteczka urządzą przedstawienia teatralne na cześć obecnych tam cudzo-

ziemców, którzy drogo zaszczyt taki opłacić muszą, szczerze ugaszczając w zamian obywateli.

Chińczycy, chcąc zaimponować cudzoziemcom znajomością form światowych, niechętnie wyrządzają im czasami prawdziwą przykrość, jak w następującym wypadku:

Pewna pani europejska oczekiwała wizyty powracającej od ślubu damy chińskiej. Zdziwiło ją i zmieszało niezmiernie, gdy przybyła złożyła głęboki ukłon, zwrócona ku stronie północnej, gospodyni zaś siedziała w przeciwnym końcu pokoju.

Wyjaśniło się, iż przepisy nakazywały zwracać się z ukłonem zawsze ku północy, gdyż tam znajdowała się rezydencya cesarska.

Nie wiedziała gospodyni domu, iż obowiązkiem jej było w tej właśnie stronie pokoju oczekiwać gościa, zatem cała wina za niezajomość etykiety chińskiej na nią spadła, panu młoda zaś spełniła, co do niej należało.

Etykieta chińska nie zabrania wcale „zaglądać w zęby darowanemu koniowi.” Przeciwnie, zwyczaj nakazuje nawet zapytać, ile kosztuje ofiarowany przedmiot, a goście, żegnając gospodarza, stale mówią:

— Przepraszam, że zrobiłem panu tyle kłopotu i naraziłem go na tak wielkie wydatki.

W czasie wesela goście składają pewne ofiary na pokrycie kosztów przyjęcia, lecz zbieranie pieniędzy winno odbywać się w jaknajdelikatniejszy sposób.

Otóż pewnego razu, w czasie takiej uczty, wniesiono uroczyście tacę, a na niej kilka gorących ciastek. Najprzód poczęstowano niemi cudzoziemców, jako gości honorowych. Ci podziękowali, lecz ciastek nie wzięli. Nikt ich widocznie nie uprzedził, iż na tacę, pod ciastka, należało nieznacznie wsunąć odpowiedni datek pieniężny.

Odmowa ta rzuciła cień na wesoły nastrój całego zebrania. Tacę zabrano, nie podając nikomu więcej.

Wszyscy z wyjątkiem tylko Anglików, zrozumieli delikatne przypomnienie, nie śmieli jednak okazać tego wyraźnie, nie chcąc zawstydzać niedomyślnych gości.

Z tych kilku przykładów widzimy, jak dalece różnią się pojęcia Chińczyków o delikatności w obejściu z naszemi przekonaniami w tej kwestyi.

III. Pracowitość Chińczyków.

Każdego podróżnika w Chinach uderza przedewszystkiem nadzwyczajna pracowitość tego narodu. Cesarz chiński udziela posłuchania o tak wczesnej porze, kiedy jeszcze wszystkie dwory europejskie są w głębokim śnie pogrążone. Zwyczaj ten Syna Nieba naśladują wszyscy jego poddani. To też podróżny, jadący po drogach chińskich, musi wstać wkrótce po północy, gdyż o tej porze, wśród zupełnych ciemności, zaczyna się w całym państwie dzień pracy. Lecz choćby najwcześniej wyruszył, wszędzie po drodze spotyka gromadki wieśniaków, z widłami w rękach i koszem na plecach, wyczekujących podróżnych w nadziei zdobycia choć trochę nawozu końskiego. Jeśli niema pilnej roboty w domu, jest to niezawodny zawsze sposób zarobku.

Tak wczesnym rankiem rozpoczyna się też praca w przędzalniach bawełny i jedwabiu, w młynach, przerabiających ryż na makę i w innych fabrykach, a ciągnie się do późnej nocy.

Pod względem wytrwałości w trudach, żaden naród

z Chińczykami równać się nie może; największe nawet ciężary przenoszą tam ludzie. W pojęciu Chińczyków utrzymanie koni, osłów, lub innych zwierząt pociągowych jest ogromnem marnotrawstwem, gdyż za pieniądze, wydane na utrzymanie konia, wyżywić można całą rodzinę chińską.

W powszechnem użyciu są lektyki, lub wygodne fotele bambusowe, niesione przez czterech kulisów, (nazwa robotników chińskich) wszelkie zaś ciężary przewożą również robotnicy w taczkach, nawet rolnicy uprawiają ziemię najczęściej ręcznie—motyką.

Zwierząt używają tu tylko wyjątkowo w dalekich podróżach i to głównie dla pośpiechu.

Ponieważ jednak w Chinach nie marnować się nie może, zatem w miejscowościach, gdzie bydła do pracy bywają używane, jak tylko padnie koń, muł, osieł lub wielbłąd, mięso jego rozkupują natychmiast bez względu na to, czy przyczyną śmierci zwierzęcia był wypadek, starość, czy też zaraźliwa choroba. Ten sam los spotyka psy i koty. Zdarza się nawet, iż zjadają psy, otrute strychniną. Pewien ostrożniejszy Chińczyk pytał raz lekarza europejskiego, czy bezpiecznie będzie zjeść mięso otrutego w ten sposób psa. Lekarz odradzał, ale, że zwierzę było już w garnku, więc domownicy nie mogli wyrzec się niezwykłej uczty.

Jak widzimy, nie wybredni są Chińczycy w wyborze żywności, a nauczyła ich tego bieda i ogromna trudność znalezienia zarobku.

Ciężką jest w Chinach praca rolników. Wskutek nadzwyczaj gęstego zaludnienia, każdy z nich posiada zaledwie maleńki kawałek ziemi, z którego musi wyżywić i okryć siebie i swoją, liczną zawsze, rodzinę. To też trzeba widzieć, z jakim staraniem ogrodnik chiński pielęgnuje i obiera z najdrobniejszych owadów każdą główkę kapusty, aż wreszcie wytrwałością swą zwycięży niezliczone roje szkodników.

Dzięki ogromnej pracowitości mieszkańców, w Chinach, a szczególnie we wschodniej najurodzajniejszej nizinie, niema piędzi ziemi, leżącej odłogiem. Jest to niy jeden wielki ogród, w którym rosną wszelkiego rodzaju rośliny, jak: pszenica, ryż, cytryny, figi, granaty, kasztany, palmy i t. p.

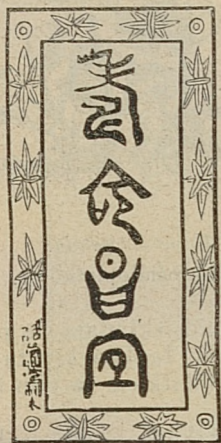
Zajęcie kupców europejskich w porównaniu z chińskimi wydaje się niemal próżniactwem: sklepy otwierają w Chinach prawie o świcie, a zamykają późno. Rachunki prowadzą Chińczycy z taką drobiazgową dokładnością, że często w nocy obliczają jeszcze sprzedaż i zarobek. A kiedy ukończą już ważniejszą pracę, zabierają się do sortowania miedzianych pieniędzy, w poszukiwaniu jakiej rzadkiej monety, którą możnaby korzystnie sprzedać.

Nauka w Chinach nie przychodzi również łatwo. Ogromną trudność stanowi tu pismo chińskie. Nie znają oni liter, dla przedstawienia każdego pojęcia mają osobny znak, właściwie obrazek, a ponieważ wyrazów w języku chińskim jest bardzo wiele, ileż to trzeba się napracować, aby zdobyć sztukę czytania i pisania.

Znaków, wyobrażających różne przedmioty w chińskiej pisowni jest 608, a z połączenia ich w różny sposób tworzą się nowe wyrazy. Znaki te porównać można z naszymi nutami, lub cyframi. Posiadają one jedną ogromną zaletę, mianowicie, że wszyscy mieszkańcy olbrzymiego państwa chińskiego, choć mówią tak dalece różnemi narze-

czami, iż ustnie porozumieć się z sobą nie mogą, obrazki te jednakowo rozumieją, zupełnie tak samo, jak dla narodów europejskich jednakowe znaczenie mają cyfry: 1, 2, 3, 4, chociaż w każdym języku inne jest ich brzmienie.

Do pisania nie używają Chińczycy piór, tylko pędzla i czarnego tuszu, wyrabianego z sady drzewa oliwnego. Nie piszą też w kierunku poziomym znaków jednego obok drugiego, jak my, lecz w kierunku pionowym, jeden znak pod drugim.



Załączona rycina przedstawia podłużną kopertę listu chińskiego wraz z samymże listem. Znaki na kopercie tworzą zdanie: „Żyćcie jaknajdłużej.” Na liście zaś wyobrażony jest kwiat jakiś, a pod nim napis: „Zasadziliśmy piękne owoce, spożywajcie je, a długo żyć będziecie.”

W szkole chińskiej przebywają dzieci cały dzień, od świtu do nocy, z krótkimi przerwami dla zjedzenia posiłku. O tem, żeby nauka trwać mogła tylko kilka godzin dziennie, ani uczniowie, ani nauczyciele nigdy nie słyszeli.

Starsi nawet ludzie, pragnący zająć wyższe stanowisko w kraju, uczyć się muszą całe życie i to nie tylko uczyć, lecz co parę lat zdawać egzaminy.

Rzecz godna uwagi, że w Chinach niema zupełnie arystokracji i tytułów rodowych, a jedyne szlachectwo i prawo do najwyższych urzędów w państwie daje nauka. Ubiegać się o nie może każdy, choćby najuboższy człowiek.

To też Chińczyków ożywia tak wielki zapal do nauki, że i dziś mnóstwo znaleźćby tam można przykładów, w rodzaju owych bohaterów chińskich, o których mówią pisarze starożytni, iż uczyli się przy świetle robaczek świętojańskich, lub orząc przywiązywali książkę do rogów wołu.

Szczególny widok przedstawiają sale egzaminacyjne we wszystkich prowincjach. Zdarza się tam, że ojciec, syn i wnuk ubiegają się równocześnie o ten sam stopień naukowy. Lecz egzamina, te trwające po kilka dni i nocy z ręką, są bardzo trudne. Wielu uczonych zaledwie w późnej starości ukończyć je zdoła.

W gazecie pekińskiej czytamy, że corocznie w każdej prowincji przynajmniej kilkunastu 80-cio letnich, a kilka 60-cio letnich starców otrzymuje zaszczytny stopień, odpowiadający naszemu doktorowi, dzięki niezmordowanej wytrwałości całego życia. Rozprawy tych kandydatów odna-

czają się dobrym stylem, a pisane są ręką pewną, niczem nie zdradzając późnego wieku autorów.

Zapał taki godny jest podziwu, gdyż nauka w Chinach jest prawdziwie sucha i nudna. Uczni tamtejsi żyją zagrzebani w księgach swych mędrców starożytnych, a największą chlubę ich stanowi bardzo dokładna historia narodu chińskiego, sięgająca aż zamierzchłej przeszłości; za to nauki przyrodnicze, fizyka, chemia, które odsłaniają nam coraz więcej tajemnic świata i prowadzą do licznych wynalazków, leżą u nich odłogiem.

Marzeniem każdego ambitnego Chińczyka jest zajmowanie jakiegoś urzędu w państwie. Lecz wszelkie urzędowanie, chociaż tak godne zazdrości w ich przekonaniu, nakłada ciężkie obowiązki i wielką odpowiedzialność. W Chinach bowiem za każde nieszczęście, jakie w danej okolicy zdarzyć się może, jak powódź, głód, pożar, urzędnicy miejscowi odpowiadają bądź majątkiem, bądź osobą własną, najczęściej jednak spotyka ich upokarzająca degradacja: odbierają im guzik od czapeczki urzędowej, oznakę wysokiej ich godności, lub pawie piórka, mające takie same znaczenie, jak orderzy w Europie. Jeśli np. w danym mieście pożar zniszczy 80 domów, każdy z tamtejszych urzędników zostaje zdegradowany o jeden stopień.

Pewien Anglik zapytał raz dostojnika chińskiego, jakie były codzienne jego zajęcia. Ten odpowiedział, że wstaje zawsze o 2-ej godzinie po północy, gdyż od 3-ej do 6-ej musi być w pałacu cesarskim, potem, jako członek wielkiej rady, zasiada tam od 6 ej do 9 ej, w ministerium wojny, którego był prezesem, przebywał do 11 i tak, sprawując różne wysokie urzędy, pracował do 6-ej godziny po południu. Prócz tego bywał członkiem wielu komisji i to zajmowało mu jeszcze parę godzin czasu. Do domu wracał dopiero o 7-ej, lub 8-ej godzinie wieczorem.

Nic dziwnego, że pracowity ten mąż stanu umarł w 6 miesięcy po owej rozmowie z wycieńczenia i nadmiaru p racy.

Mimowoli nasuwa się tu uwaga, do jakiej potęgi dojść może naród tak niesłuchanie pracowity, jeśli otrząsnie się kiedyś z kłępujących go przesądów i korzystać z wiedzy, wynalazków i wszelkich zdobyczy nowoczesnej cywilizacji.

(d. c. n.)

Zofia Urbanowska.

RÓŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

— Czy w ono zapytać co pana tam pociąga? Jeżeli Czerwony Wierch jest znacznie wyższy od Gewontu, to szerszego widoku nie możesz się pan spodziewać. Musi być przeto inna przyczyna.

— Widok nie będzie szerszy, ani piękniejszy, ale inny. Zgadłeś pan, że jest przyczyna. Chcę odszukać krzak Różanecznika.

— A to zapalony z pana miłośnik kwiatów!... Przy-

jeżdż pan do Rochdale, pokażę ci jeden tylko kwiat, ale w tysiącnych odmianach.

— Słyszałem o pańskim rosarium, opowiadał mi profesor.

— Ja pójdę z panem — zawołał Henryk, a gdy mu wszyscy odradzać zaczęli, mówiąc że to zbyt wielki trud na jego siły, po przejściu Krakowa, odrzekł z zapałem: — Trud, cóż to znaczy! ale jest wielka za trud nagroda gdy się go pokona i dokaże tego, czego się chciało. Pragnę się oprzeć o szczerbę Gewontu, na który patrzę codzień z Zakopanego. Nic na ziemi nie zdobywa się bez trudu, a ja lubię bardzo pokonywać trudności.

— Więc chodź — rzekł doktor

Sir Edward patrząc za oddalającymi się, szepnął:

— Dzielny chłopiec, ten dojdzie do celu, jaki sobie zamierzy.



Ostrożka.

Pozostał także Walter, bo czuł się bardzo zmęczonym; więc baronet dał mu swoją lunetę, a młodzieniec ją się przyglądać szczegółom rozległej panoramy. Profesor, któremu przy jego uczoności, przychodziły czasem refleksy że jest człowiekiem światowym, obowiązany do jakiejś uprzejmości towarzyskiej, znalazłszy się teraz prawie sam na sam z Anglikiem, bo malarz zajął się rysowaniem, rozpoczął rozmowę o jego stosunkach do mowych, mianowicie o lady Chester i jej zbyt wielkiej o syna troskliwości, przeszkadzającej mu cieszyć się przyjemnościami takiej jak ta, wycieczki. A spostrzegłszy że baronet zsunął nieco brwi, i zgadując, że go dręczy troska o przyszły charakter chłopca pod rozmiękczać wpływem matki — mówił dalej, że dzieci w tym wieku, a zwłaszcza chłopcy, nie zdradzają jeszcze tego czym będą w przyszłości; że natury zrazu uśpione i apatyczne, budzą się potem z podwójną energią, gdy dostaną się między ruchliwych kolegów, co nastąpi, skoro baronet ma zamiar oddać Dawida do Eton, jednej z najlepszych szkół Anglii. Należy się spodziewać, że chłopiec się tam wyrobi i wyrośnie na człowieka rozsądnego i pożytecznego, jakim być powinien dziedzic tak wielkiego mienia. Warburton milczał i gdyby

profesor lepszym był psychologiem, odgadłby że jest to przedmiot niemiły słuchającemu, a gdy Strand umilkł, pewien że sprawił najlepsze wrażenie — odpowiedział zimno:

— Żle pan jesteś poinformowany, panie Strand, nie powiedziałem nigdy że Dawid będzie po mnie dziedziczył.

Profesorowi aż okulary spadły, w takie zdumienie wprawiły go te wyrazy. Cóż więc ten dziwny, zagadkowy człowiek zamierza zrobić ze swoją olbrzymią fortuną? Jakie zamiary, jakie cele leżą w jego planach? Spojrzał na Waltera, ale nie zauważył żadnego zdziwienia na twarzy młodzieńca. Zsuwał i rozsuwał spokojnie szkła lunety, chociaż przybladł nieco.

— Ten musi się czegoś domyślać — powiedział sobie — ale co mi tam! Widzę że lepiej było nie poruszać tego przedmiotu. Popeliłem niezręczność. Nie jestem człowiekiem światowym!

I przerzucił się na inne pole, po którym stąpił powściągliwym krokiem. Zaczął mówić o epoce powstania Tatr.

Warburton nie słuchał tych uczonych wywodów, myślał on o tym, którego wszyscy mieli za domyślnego następcę majoratu i wielkiego mienia. Ale w co się obróci owa olbrzymia fortuna zbierana długie lata, w co założone przez niego instytucje, zakłady przemysłowe i dobroczynne, w niedoleżnych rękach? Chłopiec nie był zły z gruntu, lecz apatyczny. Profesor widząc poważny wyraz twarzy baroneta, przekonany był, że jest słuchany z napięciem.

— Z czego się składa oś rdzenna tych gór? — zapytał Walter, odejmując na chwilę od oczu lunetę, żeby spojrzeć na profesora.

— Główny ich grzbiet składa się z granitu, gnejsu i łupków krystalicznych. Okazy wszystkich widziałem w Muzeum tatrzańskim, gdzie porznięte na cieńsze od papieru płateczki, można badać pod mikroskopem.

— A to ciekawe! Pójdziemy z Dawidem obejrzeć te okazy.

— Tatry wschodnie czyli Wysokie, składają się przeważnie z granitu, zachodnie z gnejsu, łupków krystalicznych i niewielkiej ilości granitu, z dodatkiem w obu tych częściach górskich, skał osadowych.

— Nasi przyjaciele idą na czworakach — odezwał się Walter, patrzący ciągle przez lunetę — wejście musi być bardzo trudne.

Czas jakiś panowało zupełne milczenie. Wszyscy trzej patrzyli na Gewont, po którego stromej wyniosłości, gołem okiem nawet dobrze odróżnić było można trzy ludzkie postacie, wspinające się coraz wyżej. Białe lekkie chmurki czołgające się niżej, przesłaniały je raz po raz. Wreszcie jedna wysunęła się naprzód, i stanąwszy na najwyższym garbie Gewontu, machać zaczęła kapeluszem w stronę pozostałych. Baronet wziął lunetę z rąk Waltera i długo patrzył, a lekki uśmiech spoczął na jego ustach.

— Mały dokazał swego — odezwał się — stanął na Gewontie. Ma wytrwałość. Ale idzie ku nim duża chmura; nie będą nic widzieli. Spojrz Walterze!

Młodzieniec podniósł lunetę do oczu i rzekł po chwili:

— Chmury rozdarły się: widzę ich.

I podał lunetę profesorowi, ale tego więcej interesował sam Gewont niż podróżnicy stojący na jego szczycie.

— Zwiedzają wielką osobliwość w tych stronach — powiedział — szczyt Tatr wapieniowy, całkiem odmienny od granitowych wierzchołków i samotnie stojący między nimi, niby wyspa na morzu. Pokrywa go żółty porost, a w szczelinach czarny, jak zwykle na wapieniach. Stromość zadziwiająca!

— Schodzą — rzekł Walter. — Powrót pójdzie prędko.

— Ale jest trudniejszy niż wejście — powiedział baronet — po tak wygładzonym przez lawiny wapieniu. Żeby tylko oberzło się bez wypadku!

— Mają dobrego przewodnika. Wycieczka na Gewont należy do łatwiejszych.

W pół godziny potem turyści byli z powrotem i mieli pęki



Dryas octopetala.

Dębik ośmiopłatkowy.



kwiaków, ale nie było między nimi róży bez kolców. Doktor opowiadał, że nie znalazł *Rhododendronu*, który musi być gdzieś niżej między turniami Gewontu, a schodzić tam nie mógł, bo na to czasu nie było, ale widział zdaleka krzak podobny do krzaku tej rośliny. Za to znalazł rzadki gatunek *Traganku*, *Astragalus montanus*, bardzo ładną roślinkę z błękitnymi motylkowatymi kwiatami, podobnymi do kwiatów akacyi i drobnymi listkami, na wspólnej osadzonej łodydze.

Henryk dziwił się, że ten mały traganek i takie duże drzewo jak akacja, mają tak wiele wspólnego podobieństwa, iż botanicy do jednej je zaliczają rodziny, t. j. rodziny motylkowatych. Kwiaty ich istotnie wyglądają jak motylki. On sam znalazł prześliczną ostrożkę o wielkich szafirowych kwiatach, zwaną ostrożką wyniosłą: *Delphinium elatum*.

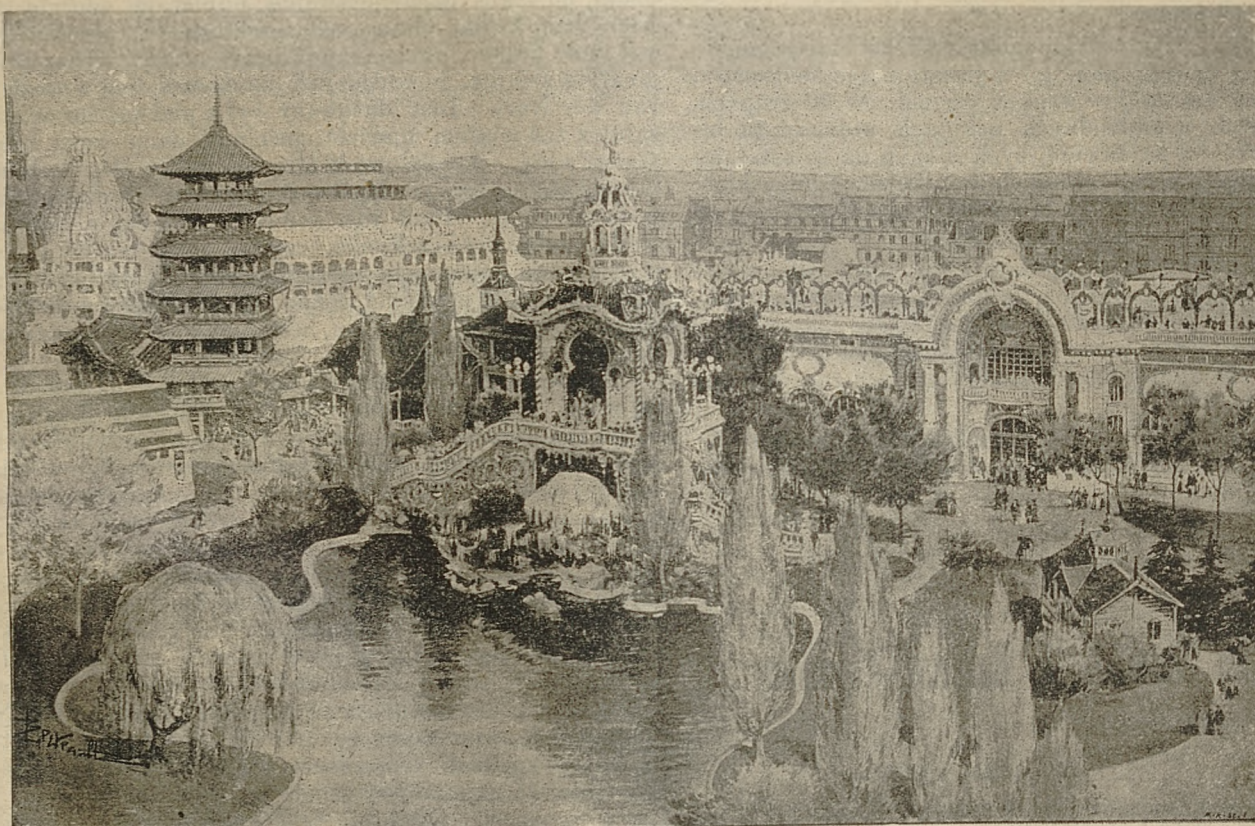
aż napotkali obszerną polanę, otoczoną zewsząd trawiastymi górami. Była to hala Kondratowa z licznymi szałasami krowiami i owczymi. Tam wypili po szklance mleka słodkiego i po krótkim spoczynku ruszyli do Kalatówek, gdzie przewodnicy chcieli im pokazać Wywierzyska Bystrej. Baronet prosił doktora aby zapytał juhasów o różę bez kolców i ku zdumieniu swojemu dowiedział się, że rośnie pod Gewontem. Więc znów powiedział gdzie mieszka i obiecał nagrodę za dostarczony sobie krzak z korzeniem.

— Dziwna rzecz — mówił — jestem blisko tego czego szukam i spotkać go nie mogę. Gdybym był przesądnym, powiedziałbym że to fatalizm.

— Co to są Wywierzyska, panie Jakóbie? — pytał Henryk. — Pierwszy raz słyszę tę nazwę.

— Jest to gwałtowne wydobywanie się wód podziemnych

Z Wystawy Paryskiej.



Pałac elektryczności, pałac kostiumów i panorama naokoło świata.

Widział tam duże krzaki okryte temi wspaniałymi kwiatami. Przyniesli także z korzeniami *Jaślinek* zwyczajny, *Soldanella alpina*, wdzięczny drobny lila kwiateczek, *Dębik* ośmiopłatkowy, *Dryas octopetala*, *Szczodrzyca* ośmiopłatkowa takie drobne białe kwiateczki nisko przy ziemi rosnące, żółty *Kuklik górski* *Geum montanum* i piękny *Mak alpejski*, biały i żółty *Papaver alpinum*.

Baronet na to odezwał się, że wiele tych roślin widział w Kościeliskiej, co było słuszną uwagą, gdyż na wapieniach, tu czy gdzieindziej, jedno i te same spotykają się gatunki.

Obaj ze swej wycieczki bardzo byli zadowoleni. Na łączce między turniami Gewontu widzieli pasące się stadko kozic, a widok ze szczytów mieli wspaniały. U stóp, gdzieś w straszliwej głębinie, mieli całą dolinę Strążyską wraz ze spływającą z niższego Gewontu sikławą.

Po całonocnym wypoczynku schodzono z Czerwonych Wierchów ścieżką w zakosy przez Piekło — tak się zowie przełęcz, zasypana olbrzymimi rumowiskami kamieni—

na wierzch. Wody deszczowe zwilżające tak obficie powierzchnię gór tutejszych, dostają się bezustannie do wnętrza ziemi; przedarłszy się szybko pomiędzy mchy leśne i trawy zaściełające ziemię, tworzą sobie drogę przez pokłady zwirów i kamieni, a natrafiwszy prędzej lub później na litą skałę, ściekają po niej, jako tak zwana woda gruntowa, przebijając nieraz znaczne przestrzenie pod powierzchnią ziemi. Jeżeli uda im się potem przełamać zapory powstrzymujące je w biegu, wydobywają się nagle, niespodzianie na powierzchnię ziemi. Taki jest początek źródła Lodowego w Kościeliskiej dolinie, taki Wywierzysk Bystrej na Kalatówkach, dokąd idziemy.

— A gdzie jest jego początek?

— Tu w Kondratowej, w Suchej dolinie.

— Ale tutaj niema żadnych potoków.

— Widocznych niema, ale są ukryte! Górnie przyłożwszy ucho do ziemi, słyszą łoskot podziemnych wód.

(d. c. n.)

Z Wystawy Paryskiej.

IV.

Wielu zwiedzających wystawę znajduje, że zewnętrzna jej strona jest ciekawsza od okazów, umieszczonych wewnątrz budowli, gdyż takowa przedstawia się tak malowniczo i niezwykle, iż nieraz wydaje się widzowi, że chodzi po jakimś zaczarowanym mieście z „Tysiąca i jednej nocy.” Weżyny naprzykład zakątek, przedstawiony na załączonej rycinie, czyż nie wygląda uroczo? Pośrodku nad sadzawką wznosi się pałac elektryczności, tej tajemniczej siły przyrody, która obecnie zajęła pierwszorzędne miejsce w technice i zapędziła w kąt parę i gaz. W tym pałacu zebrano wszystkie najnowsze wynalazki z dziedziny elektryczności, a wieczorami lśni on i świeci, jakby chciał rywalizować ze słońcem.

W głębi, za oryginalną pagodą chińską stoi pałac, do którego ciągną szeregi pań, gdyż jest to pałac kostiumów, ale bynajmniej nie strojów współczesnych! W 30 grupach, rozmieszczonych w oddzielnych pokojach widzimy tu historię ubiorów, od najdawniejszych czasów aż do ostatniej doby, z uwzględnieniem przeważnie ubiorów francuskich, które zresztą od połowy XVII wieku, rozpowszechniły się wśród wyższych sfer całego świata.

Na figurach woskowych naturalnej wielkości i odpowiednio ncharakteryzowanych, widzimy tam rozmaite kostiumy, a figury przedstawiają nieraz osoby historyczne. Jest to niewątpliwie jeden z najciekawszych pawilonów, szkoda tylko, że ubiory narodów słowiańskich zupełnie pominięte zostały.

Po drugiej stronie pałacu elektryczności wznosi się gmach jednej z licznych panoram, a mianowicie panoramy „Na około świata.”

Siódmy list Janka Ł. do Redakcji Wieczorów.

Szanowna Redakcyo!

Przepraszam najmocniej Szanowną Redakcję, że osmielałem się trudzić Ją moim listem, ale drugi to już raz piszę do kolegów na wydartych kartkach z notatnika i piszę ołówkiem, co prawdopodobnie przysparza wiele kłopotu przy odczytywaniu i porządkowaniu karetek. Być może, że one nie dostaną się nigdy do Europy, jeśli jednak potrafię je przesłać, to mogą nie mieć czasu na przepisanie mego dzienniczka. Niech więc Szanowna Redakcy raczy mi wybaczyć trud, jaki z mojej przyczyny znosić będzie. Jestem tak zupełnie sam na świecie, może nigdy tatki nie zobaczę, miło mi zwrócić się myślą do tego pokoiku na Mazowieckiej ulicy, gdzie chodziłem z mamą po kochane „Wieczory.” Czuję się mniej sierotą, gdy sobie uprzytomnię kochaną panię, która nam je oddawała i zwracając się myślą do kraju, zatrzymuję ją zawsze na tem wspomnieniu, a to mi daje pociechę. Z wielkim uszanowaniem i przywiązaniem.

Struś.

Kochani koledzy! U was tam wiosna, chodźcie do Łazienek, żeby odpocząć po egzaminie i siadacie pod kasztanami nad stawem. Ach! ileż razy patrzyłem na wody tego stawu, a teraz...

Siedzę i ja pod drzewem, jest ono tak olbrzymie, że równie wielkiego nie widzieliście nigdy, tylko nikt powie: dzieć mi nie umie, jak się nazywa ten gatunek drzew,

bo koło mnie sami Kafrowie, a oni biedacy mało dbają o botanikę...

Piątek 11 maja.

Przerwałem wczoraj list, było mi zbyt snutno. Chciałem się nastroić na dobry ton i zacząłem pisać do was jak-gdyby nigdy nie, rozmawiając o waszych egzaminach i Łazienkach. Przecenilem jednak swoje siły, że wstydłem przyznać, że łyż stanęły mi w oczach i rzuciłem ołówek. Ale podniosłem go natychmiast i schowałem starannie do kieszeni, bo to teraz najdroższy mój przyjaciel, może nigdy nie będę miał już ołówka ani przyjaciela, może umrę w samotnej wiosce Kafrow, zdala od ojca, od kraju, od ludzi, którzy pojmnaliby moje uczucia, moje myśli. Nie, to zbyt okropne!...

Niedziela 20 maja.

Wstydzę się was, koledzy, dwa razy już przerwałem list. Dziś niedzielą, modliłem się gorąco do Boga i jestem spokojniejszy, nie będę się też rozwodził nad memi uczuciami, bo takie rozpamiętywania odbierają energię, a opowiem wam krótko historię ostatnich tygodni. Jeśli nie oszukał mnie kupiec, któremu powierzyłem list, wynagradzając go złotą szpilką, to wiecie już, że mieszkałem w wozie pani van der Nort. List datowany był z pierwszego maja, natomiast zaś miałem opuścić gościnny dach wozu, żeby iść szukać ojca. Ale człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi... tak się stało i teraz. Myśl o zamierzonej podróży nie dała mi usnąć. Pani van der Nort objechała wieczorem stado, żeby się przekonać, czy nie grozi mu jakie niebezpieczeństwo, opatrzyła strzelby, bo ma ich dwie z sobą, i poszła spać, ja zaś napróżno starałem się zmrózzyć oczy, niepokój spędzał z nich sen, wstałem więc chcąc odetchnąć świeżym powietrzem.

Księżyc rzucał smugi światła po łące, na której pasły się woły, wyprężone od wozu. Poszedłem przyjrzeć się im po raz ostatni, bo pocziwe zwierzęta przypominały mi kraj. Taką samą łąkę i takie same woły widziałem u mojej cioci w p. Sandomierskim. Zapomniałem na chwilę, że jestem w Afryce, kiedy nagle zwrócił moją uwagę jakiś szmer, odwróciłem głowę: z za krzaków wyjrzało coś czarnego. Pantera! — pomyślałem — bo spotyka się je tu dość często i chciałem biedz po strzelbę, kiedy uczułem nagle, że chwytła mnie ktoś za ramiona i, nim zdołałem krzyknąć, leżałem już na ziemi, a jakaś czarna łapa pakowała mi w usta garść traw. Zrozumiałem, że rabusie podkradali się do stada, ale nie mogłem ostrzedz pani van der Nort, bo stałem z związanymi rękami i zakneblowanymi ustami. Kafrowie spędzali tymczasem woły, a uprowadzali je tak ostrożnie, że najmniejszy szmer nie zdradzał rozboju. Byłem w rozpacz. Odebrać tyle dobrodziejstw od pocziwej Holenderki i nie móc uratować jej mienia!

Nagle uczułem pod nogą coś twardego, błysła mi myśl szczęśliwa, pewnie natchnienie Boże. Cofnąłem się w tył i podrzuciłem nogą kamień w stronę wozu. Nie trafiłem w furgon, ale uderzyłem śpiącego obok służącego Kafra. Zbudzony narobił hałasu, musiałem nabić mu porządnego guza; pani van der Nort usłyszała krzyk Moopy, tak bowiem zwał się Negr i wyskoczyła natychmiast z wozu. Co się potem działo, tego nie mogłem już widzieć, bo porwany przez Kafrow, pędziłem w głąb równiny. Wlekli mnie po ziemi, nigdy bowiem nie byłbym potrafił im nadażyć; są tak silni, że udaje im się czasem prześcignąć konia.

Nie wiem także jak długo trwała szalona pogoń, gdyż straciłem przytomność; kiedy wróciła mi świadomość smutnej rzeczywistości, leżałem na skórkach zwierząt, a kilka kobiet i mnóstwo małych dzieci kręciło się około ogniska.

Z trudnością przypominałem sobie zdarzenia ostatniej nocy, byłem jak zbity, bolały mnie zwłaszcza nogi, bo ciągniony pod obie ręce, wlokłem się po kolczastych roślinach i pokaleczyłem ciało. Stara kobieta, siedząca najbliżej, mego postania, dała mi mleka. Piłem chciwie, ale odwracałem głowę od mojej karmicielki, bo była straszna jak wiedźma! Kobiety tutejsze golą głowy, zostawiając tylko

trochę włosów na samym czubku, te włosy wypomadowane szkaradnym tłuszczeniem, układają w wysoki czub, co u starych zwłaszcza wygląda bardzo dziwnie. Pogodziłem się jednak wkrótce z moją opiekunką, bo rozczuliła mnie swą dobrocią. Wiedziała, że mam spuchnięte i pokrwawione nogi, przyniosła więc jakichś liści, umoczyła je w śmietanie, którą tu wlewają w skórzanę worki i worek poruszają tak długo, aż zrobi się masło. Te chłodne i mokre liście przyniosły wielką ulgę moim nogom, podziękowałem też starszuce.

Umiem kilkadziesiąt wyrazów w narzeczu krajowców, więc od biedy porozumiewałem się z Kaframami. Uśmiechnęła się do mnie wyszczerzając szczęki, w których tkwił jeden tylko ząb i wróciła do ogniska, a ja mogłem teraz zastanowić się nad moim położeniem.

Byłem w kraju, to jest w wiosce Betschuanów, o kilkanaście kroków od ogniska stała chata, pokryta sitowiem, a wsparta na jednym słupie, z dachem wystającym ponad wyplecione z chrustu ściany i tworzącym jakby werandę, biegnącą w koło chaty. Takich chat było kilkanaście wśród pola zarosłego kukurydzą, a przed każdą chatą palono ognisko, kobiety przygotowywały posiłek, a dzieciaki przybiegały do mego posłania, przypatrując mi się, jak ciekawemu zwierzątku.

Testament starego kalarera
Testament slego przyjaciela
TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

— Naturalnie, że mógłby być zadowolony, i ja sam stawiałbym na niego bez wahania sumę poważną, tylko gdzież pewność, że on istnieje prawdziwie, że nie jest dziwaczną fantazją zmarłego oryginała? — zauważył jeden ze współników poważnej firmy kolejowej.

Mimo wszakże tej wątpliwości, a może właśnie dla niej on sam, a wraz z nim wiele innych osób udało się bezpośrednio z sali Auditorium na kolej, aby zdążyć do Milwaukee na chwilę nadejścia i odbioru depeszy.

Tutaj krótko przed dwunastą, przez tłumy otaczające główny zarząd telegrafów, przecisnął się człowiek w podróżnym ubraniu, z kufereczkiem w ręku, słusznego wzrostu, z siwiejącym już zarostem i ciemnymi binoklami na oczach.

— Czy jest depesza dla X. K. Z.? — zapytał głównego urzędnika biura, podając jakiś bilecik.

— Jest — odpowiedział zagadnięty, a rzuciwszy okiem na przedstawioną legitymację, doręczył podróżnemu leżący przed nim przygotowany już papier.

Siódmy partner, teraz już nikt nie wątpił, że on nim był rzeczywiście, rozerwał powoli i ze spokojem zaklejoną kopertę i nie zdradziwszy najmniejszym ruchem, czy odebrana wiadomość zadowolniła go czy nie,łożył papier po przeczytaniu do kieszeni paltota i opuścił biuro z powagą, pośród oniemiałej z silnego wrażenia publiczności.

A więc to nie mistyfikacja! Ten X. K. Z. istnieje prawdziwie, jest człowiekiem z krwi i kości, i chociaż trudno pojąć dla czego otoczył się tak dziwaczną tajemniczością, cóż to przeszkadza ufać w jego dalsze szczęście, co przeszkadza zakładać się o niego i być pewnym wygranej? Tym więcej nawet przedstawia rękojmi, że o ile z pozorów sądzić można, jest to człowiek poważny, dbający o dokładne spełnienie warunków gry, i jak się stawił po depeszę

w Milwaukee, tak też będzie punktualnym w Washingtonie i dalej, gdzie go losy wyślą.

Zdobyta pewność i wyprowadzone z niej wnioski podniosły znów znacznie rucną zakładowy, i Milwaukee zawrzało nowem życiem dnia tego.

Gdy więc teraz pierwsza partya gry Hypperbona rozegraną została, przejrzyjmy kolejno położenie każdego z partnerów.

Maks Real opuścił 15-go maja Fort-Riley, w Stanie Kansas, aby się udać do dwudziestej ósmej przedziałki, Stan Wyoming.

Tom Crabbe — podążył z Austen, stolicy Teksasu, do trzydziestej piątej przedziałki, Stan Ohio.

Herman Titbury — po dopełnieniu warunków kari jakiej uległ w mieście Calais, w Stanie Maine, miał przed sobą 19-go maja podróż do Stanu Utah, przedziałka czterdziesta.

Harris T. Kymbale — jechał 21 maja prawie bez odpoczynku z Santa-Fe Nowego Meksyku, do Południowej Karoliny.

Komodor Urrican — jeżeli jeszcze żyje i wróci do zdrowia ma wedle otrzymanej depeszy 25-go maja udać się do pięćdziesiątej ósmej przedziałki, czyli do Stanu Kalifornii, gdzie zaraz nawrócić musi z powrotem do Chicago, aby rozpocząć grę na nowo.

Wreszcie X. K. Z. otrzymał czterdziestą szóstą przedziałkę, obwód Kolumbia.

Niechże więc w dalszym ciągu świat cały wyczekuje co któremu z parterów los przeznaczy w rzutach kości, które rejent Tornbrock zawsze z tą samą akuracnością co drugi dzień dopełniać będzie.

Aby wszakże ułatwić śledzenie poruszeń każdego z partnerów pomysłowa „Trybuna” przedstawiła projekt, który nie tylko w Ameryce ale i na lądach starego świata z zadowoleniem przyjęty został.

Bo i dla czegożby nie miano zastosować w tym wyścigu, tego co się od dawna praktykuje między jockey'ami na zwykłych wyścigowych torach; czemu, gdy partnerów było siedmiu, nie nadać każdemu barwy odmiennej, odpowiada jącej siedmiu zasadniczym kolorom tęczy?...

Tak więc: Maks Real otrzymał kolor fioletowy, Tom Crabbe indygo, Herman Titbury niebieski, Harris T. Kymbale zielony, Helena Nałęcz żółty, Hodge Urrican pomarańczowy, a X. K. Z. czerwony.

Odtąd małe chorągiewki przytwierdzone do śpilek, zatykano na mapach Hypperbona i niby piony na szachownicy, przesuwano odpowiednio do jakiej przedziałki miał pądnąć każdy partner szlachetnej gry po Zjednoczonych Stanach Ameryki.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Park narodowy.

Gdy 15-go maja, w południe Maks Real dowiedział się z depeszy, że otrzymał w drugim dla siebie rzucie kości punktów dziesięć, pomyślał w pierwszej chwili, że z zajmowanej obecnie ósmej przedziałki przeniesie się do osiemnastej, to znaczy do Chicago w Illinois. Ale rejent Tornbrock nie omieszczał przypomnieć zaraz, że służy mu tu przywilej podwojenia ilości punktów, czyli że przypada mu dwudziesta ósma przedziałka, Stan Wyoming.

— Widzisz Tomy, wcale nieźle nam się wiedzie — rzekł ze zwykłą sobie wesołością malarz.

— Jeśli mój pan zadowolony, to i ja się cieszę — odparł Murzyn, ukazując w uśmiechu swe połyskujące białością zęby.

— Twój pan jest dziś podwójnie zadowolony. Raz, że nie mamy zbyt dalekiej podróży, bo Wyoming jednym kątem graniczy z Kansas, a powtóre, że zdarza mi się sposobność zwiedzenia parku Narodowego w Yellowstone, który dla swej piękności uważany jest prawie za cud świata,

a którego dotychczas nie znam wcale. Toż szczęśliwa za-
błysła mi gwiazda, że nie inny jaki Stan, lecz właśnie
Wyoming przeznaczyła mi gra obecna.. Czy ty to chłop-
cze rozumiesz?

— Nic nie rozumiem panie — odrzekł z prestodu-
snością Tomy, w którego dość tępej głowie kombinacje
gry po Stanach Zjednoczonych jakoś w żaden sposób po-
mieścić się nie mogły.

Zresztą alhoż mu to potrzebne? Jemu wystarcza, że
jest razem ze swym panem, że mu służy jak może najwier-
niej i że ten jest dla niego zawsze równie dobry. Więc
też o nic nad to, ani myśli się troszczyć.

— Ha, ha, ha -- widzę, że próżny mój trud aby choć
trochę światła wprowadzić pod twe czarne kędziory... Już
to rzecz pewna, że uczonym nie zostaniesz nigdy!.. — śmiał
się wesoło artysta.

Tomy stał zafrasowany, jak pod zarzutem jakiejś wiel-
kiej winy.

— No, no, nie masz znowu potrzeby tak bardzo się
smucić, mój chłopcze — zawołał Real, spostrzegłszy mimo-
woli wyrządzoną przykrość. — Mnie twój rozum nie jest
koniecznie potrzebny, a uczciwość twą tak cenię, że niech
tylko zostanę bogatym, zaraz cię kupię sobie na własność
i — bądź pewny, że zapłacę ci dobrze. Tymczasem ruszaj
się żwawo i pakuj manatki, chcę jaknajprędzej opuścić
Fort-Riley.

— Dobrze panie, za chwilę będzie wszystko gotowe —
rzekł Murzyn już rozweselony i dumny ponowioną obietnicą,
której urzeczywistnienie było dla niego ideałem szczęścia.
A gdy on pakował kufer, pan jego składał swe przybory
malarskie, i w żywości usposobienia wypowiadał głośno
swe myśli.

— Więc to w Cheyenne, stolicy Wyomingu, otrzy-
mam następną depeszę, naturalnie, jeśli który ze współza-
wodników nie zakończy już poprzednio gry, dotarłszy do
sześćdziesiątej trzeciej przedziałki. Kto zaś jak kto, ale
ten złosnik Urrican gotów to uczynić. Jeden szczęśliwy
dla niego rzut kości i — żegnajcie mi na zawsze miliony
Hyperbona! Ale co tam miliony, czyż mi one tak bardzo
potrzebne, a tymczasem co zwiedzę Yellowston, to zawsze
będzie moja wygrana

Po chwili milczenia rozkładał znów mapę dróg żela-
znych po Zjednoczonym Państwie, aby postanowić plan
nowej podróży.

— Gdybym mógł jechać ztąd w prostej linii do Che-
yenne stanąłbym na miejscu w przeciągu jednej doby — że
jednak jeszcze tak przeprowadzonej drogi, muszę
nałożyć drugie tyle, mimo, że wybiorę z dwóch dążą-
cych do tego samego celu, tę krótszą, idącą na miasta:
Sulina, Elias, Oakley, Monument i Wallace do granicy Co-
lorado, skąd przez stołeczne Denver następnie Jersey,
Brighton, La Salle i Dower znajdę się wreszcie w Cheyenne.
Tu już z łatwością urzeczywistnię upragnioną wyciecz-
kę do Parku Narodowego.

Z tem postanowieniem wyruszył w drogę pierwszy
partner czyli wedle Trybuny „Pawilon fioletowy,” z Fort-
Riley, pociągiem który przebiega owe niezmierzone stępy
Kanzasu, gdzie wprawdzie rzadko oko ma się na czem za-
trzymać, ale gdzie też inżynierowie budujący tę kolej, nie
znaleźli żadnych trudności w przeprowadzeniu swych
planów.

Więcej już urozmaicenia przedstawiały górzyste stro-
ny Colorado z rozsiadłymi malowniczo wioskami i osadami,
które przesuwają się przed oczyma artysty, dopóki noc nie
otuliła je swym ciemnym płaszczem. Nazajutrz z brzaskiem
dnia zatrzymano się w Denver.

(d. c. n.)

SZARADA

Pierwsze wraca nam zawsze raz jeden do roku,
Drugie wskazuje własność w czasowniku toku.
Trzecie z myśli i woli człowieka wypływa,
I według ich wartości złym lub dobrym bywa.
Wszystko wraz, gród handlowy w tej odległej ziemi,
W której naród łączności nie chce mieć z innymi.

ARYTMOGRYF.

ulożył Chochlik dla Lilli Wenedy.

- 6, 9, 2, 1. Pasma gór w Europie.
12, 23, 12, 2. Wody mineralne w Czechach.
2, 3, 4, 1, 25. Rzeka w Europie.
13, 22, 1, 2, 1, 24. Miasto w Galicji pamiętne napadami
[Tatarów].
16, 11, 12, 2, 25. Miasto warowne w Belgii.
14, 3, 4, 3, 2. Gaz, pierw. chem. najwięcej rozpowszechniony.
1, 2, 1, 22. Mieszkaniec kraju w Azji.
15, 1, 19, 3. Poetka w starożytnej Grecji.
13, 17, 26, 22, 1. Ptak z grom. śpiewających z rzędu
[luszczaków].
16, 9, 10, 10, 1. Roślina z rodz. liliowatych.
2, 1, 25, 15, 12, 25. Sławny podróżnik współczesny.
23, 1, 25, 23, 12, 15. Rzeka w Indjach.
7, 17, 20, 20, 16. Wódz z wojny trzydziestoletniej.
3, 2, 20, 17, 5. Roślina z rodziny jaskrowatych.
25, 27, 12, 20, 3, 7. Ptak w Australii z rzędu biegających

Zastąpić liczby literami tak, aby pierwsze litery złożonych
wyrazów utworzyły imię i nazwisko człowieka wielkich zasług dla
swego kraju.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 31-go

Zagadki: Połów — olów — lów — ów — w.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Najliczniejszy naród na świecie, opracowała Tomira (z ryc.) — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrod-
tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Z wystawy paryskiej (z ryc.) — Siódmy list Janka Ż. do Redakcyi Wieczorów. —
Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M.D. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Dodatek: Czy to prawda (z ryc).
Zamiećmy się, komedijka w jednej odsłonie? — Dzienniczek Wańdzy. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. —

Dodatek książkowy: Na wakacjach, przez Maryę Łopuszańską.

A. Z.

CZY TO PRAWDA?

— Powiadają, że jestem łobuz. Czy to może być prawda? Już się tak do mnie ludzie uprzedzili, bo i cóż ja robię?

Wleżę na płot i spadnę, wielkie mi rzeczy! Lada kogut na płot wskakuje, a że on sfrunie, a ja tego nie potrafię — to już nie moja wina. Przecież już raz przywiązałem sobie gęsie skrzydła do ramion, a i tak sfrunąć nie mogłem. Co ptak, to nie człowiek; a ludzie zaraz: łobuz! łobuz!

Wdrapałem się na topolę! bo chciałem zobaczyć, jak ziemia wygląda z wysoka.

Bardzo ładnie. Wcale nie żałuję, że się przytem trochę podrapałem.

A ludzie krzyczą: „co ten łobuz wyrabia? ręce i nogi połamię!”

Przystawili drabinę, ściągnęli mnie jak kociaka, a potem... Ha, już się trzeba do wszystkiego przyznać. Potem otrzepano mi surducik na plecach.

Zrobiłem sobie raz zwyczajną papierową maskę, z buraczanami rumieńcami, węglowemi brwiami i lnianą brodą; ubrałem się w nią pięknie i do Burka poszedłem. Ot, z grzeczności chciałem go odwiedzić... a tu? strach co za gwałt się podnosi! Bo Burek szczeka jak najęty, indyki bulgoczą jak waryaty, a wszystkie sługi zaraz wołają: „A to ten panicz, łobuz!”

A bo to prawda?

Stopnie przecież mam zawsze dobre; babuni zawsze nawlekam igielkę, a mamie trzymam bawełnę; Matyska wyuczyła mnie ładnych wierszyków, a Burka służyć i przez kij skakać. Ale za to, nikt mnie nie pochwali. A jak stłukłem miesiąc temu dwie lampy jednego dnia (przecież niechcący) to już wróble świergotały na dachu, że łobuz!

Zaraz odkłęczałem za to całe pół godziny, a stary Marcin, jeszcze mi do dzisiaj darować tych lamp nie może.

Przeskoczę przez klomb, „łobuz!” rozleję wypadkiem

herbatę, łobuz! miauknę, kichnę, zatrąbię... łobuz i łobuz bez końca!

I co ja na to poradzę? Mój truś kochany! on jeden nie wyrzeka na mnie (bo i kochany Burek czasem bez potrzeby szczeknie). Trusio biały, nastawił pięknie oba uszki i pewno wysłuchawszy co mówię, żałuje mnie teraz w swym serduszku.



Złożył sobie pokornie obie łapki, patrzy ludziom miłośniernie prosto w oczy i z pyszczką mu widać, że chce powiedzieć:

— Nie gniewajcie się państwo na mego przyjaciela, że mnie w kapelusze wsadził, że wybiegł bez kurtki i bucików, że porwał babuni pantofle. I tak już ludzie zrobili go łobuzem. A czy to prawda?...

ZAMIEŃMY SIĘ.

Komedyjka w jednej odsłonie.

OSOBY:

Antoś, Ludka, Jańcia, Władzio (*rodzeństwo*).

Kasia (*uboga dziewczynka*). — Marcinowa (*kucharka*).

SCENA 1-a.

(*Pokój szkolny. Antoś i Władzio rozkładają na stole książki, jakby dopiero co wrócili ze szkoły*).

Antoś. No, to u dziewcząt dziś popis — ciekawym, jakie przyniosą świadectwa?

Władzio (*z rezygnacją*). Pewnie dobre.

Antoś (*w tym samym tonie*). Bardzo być może.

Władzio. To szczególne, że dziewczętom nauka zawsze lepiej idzie.

Antoś. No, zawsze, nie zawsze — a zresztą czego one się uczą? trochę historii i geografii — dałbym ja im łacinę, to by zobaczyły co jest trudnego?

Władzio. Wiesz, tak znowu nie można powiedzieć, im nieraz dosyć zadają w szkole, tylko, że dziewczęta czegoś chętnie ślęczą nad książkami.

Antoś. Bo i coby robiły innego? na ślizgawkę to nie pójdzie, wpilkę się na dziedzińcu nie zabawi, nawet na ulicę samo nie wyleci — ej, nie chciałbym być dziewczynką ani przez jeden dzień.

Władzio. A ja bym chciał teraz być Ludką i mieć obietnicę pojechania z ciocią do Zakopanego, w nagrodę za celujące świadectwo.

Antoś (*śmiejąc się*). Ba! nie duży ci obietnica pomogła — coś mi się zdaje, że tam jutro będzie bliżej dwójki niż celujących.

Władzio. O, bardzo cię przeproszam! tak źle nie będzie, a zresztą gdybym był Ludką, tobym tak jak ona ślęczał cały rok nad nauką i byłoby dobrze.

Antoś. Ludka jak Ludka, ta zawsze była chodzącą doskonałością — ale co się Jańci stało, że i ona od miesiąca kuje, jakby maturę zdawać miała, i taka się zrobiła rozważna, że ledwie raz na dzień dobrego bąka strzeli, a dawniej przecie, co się odezwała, to jak kulą w płot, bo nigdy nie wiedziała co do niej mówią.

Władzio. Nie wiem co jej się stało — ona przecież w żadnym razie do Zakopanego nie pojedzie; mówiła ciocia, że tylko jedną może wziąć, a więc weźmie starszą, a my wszyscy z mamusią zostaniemy pod opieką wujcia na wsi.

Antoś. Ale jakąś nagrodę i ona ma pewnie obiecaną, bo coś bardzo z ciocią szeptaly, tylko powiedzieć nie chce co, zdaje jej się, że to jest paradnie mieć jakąś tajemnicę.

Władzio. Oh, bardzo też kto ciekawy takich sekretów! pewnie dostanie nowy kapelusz albo suknię — dla dziewcząt nowy fatalaszek to największa radość.

Antoś. Masz rację — pewnie, że tak.

SCENA 2-ga.

Ciż sami. Ludka.

Ludka (*wchodzi z miną bardzo zadowoloną, z cenzurą rozłożoną w ręku*). Czytajcie! (*podaje ją braciom*).

Antoś (*z ukłonem*). Nie potrzebujemy nawet czytać twoja mina i twój wspaniały gest objaśniają nas dostatecznie.

Władzio. Dawaj! (*wyrywa jej prawie świadectwo i pochłania je oczyma*). Patrzaj! to z ciebie szyk! same celujące od góry do dołu.

Ludka. Ja zwykle miewam tylko takie cenzurki.

Antoś (*zaglądając przez ramię Władzia*). No, no! nie przesadzaj — takiej jeszcze nie miałaś nigdy, jak chodzisz po świecie.

Władzio. Ale też za to będziesz teraz chodzić, p. Zakopanem! jakaś ty szczęśliwa! poznasz Tatry! czy ty naprawdę myślisz się wdrapać na sam najwyższy szczyt?

Ludka (*ze sztuczną powagą*). Spodziewam się! ja nie umiem nic robić przez wpół — jak się uczyć to uczyć — a jak być turystką, to już dotrzeć tam, gdzie docierają tylko najśmielsi!

Antoś (*śmiejąc się*). Ho, ho! jakie śliczne projekty, żeby tylko ciocia pozwoliła.

Ludka. Zapewne, że takim roztrzepancom jak wuj i Janka, nie mogłaby pozwolić, ale mnie co jestem...

Antoś. Ale tobie co jesteś taką chodzącą doskonałością... takim uosobieniem rozumu... wiesz, ja myślę, że nawet kozy w Zakopanem osłupieją z podziwu, gdy cię zobaczą. (*chłopcy śmieją się*).

Ludka (*niezadowolona*). Koncept wcale nie mój.

Władzio. A czemu Janki tak długo niema?

Ludka. Nie wiem, czekałam na nią na korytarzu szkolnym, a nie doczekawszy się, myślałam, że już sama poszła naprzód.

Władzio. Ciekawym bardzo jej cenzury.

Ludka (*pogardliwie*). A ja bynajmniej.

Antoś. No, ona w ostatnich czasach wcale się porządnie uczyła.

Ludka. Tak! przez jeden miesiąc — kto chce mieć dobre stopnie, to powinien o tem pamiętać od pierwszych lekcji. Ja jeszcze we wrześniu...

Antoś. Myślałaś o cenzurze — wiemy to już, wiemy — nie potrzebujesz nam tyle razy powtarzać.

Ludka. Zawsze przyda się wam usłyszeć.

SCENA 3-a.

Ludka, Antoś, Władzio, Jańcia.

Jańcia (*wbiega, widocznie spłakana, w ręku trzyma cenzurę*).

Antoś i Władzio. Pokaż, pokaż! (*wyciągają ręce*).

Ludka. Oóżeś tak długo robiła w szkole?

Jańcia (*przez łzy*). Nic nie robiłam — u nas teraz była klasyfikacja.

Ludka (*patrząc na nią*). I jak widzę wcale jakoś nie szczególnie wypadła.

Władzio (*biorąc Jańci cenzurę*). Pokaż przecie! (*zaczyna czytać*).

Antoś (*czyta także*). Ależ Jańciu, to przecież wcale dobre stopnie, czemuż się tak martwisz. (*Jańcia chowa twarz w rękach i zaczyna płakać*).

Władzio. Nawet są wiele lepsze, niż miałaś w pierwszym kursie — trzy bardzo dobre!

Jańcia (*szlochając*). Tak, ale z niemieckiego jest „dostatecznie.”

Władzio. Eh, z jednego niemieckiego! (*pocieszając ją*). Nie martw się, na przyszły rok będziesz jeszcze miała lepsze, a i tak już sobie parę stopni poprawiłaś.

Ludka (*z poczuciem wyższości*). To trudno, moja kochana — odrazu nie można się stać celującą — to nie idzie tak łatwo.

Jańcia (*wciąż jeszcze płacze*). Żeby nie to jedno dostateczne! żeby nie to jedno! ja się już tak cieszyłam!...

Antoś. Na co się cieszyłaś?

Jańcia (*mówi powoli, uspakajając się*). Bo mnie ciocia obiecała, że jeżeli w moim świadectwie będą same dobre i bardzo dobre, to... to... (*znów zaczyna płakać*).

Ludka. To cóż? Mówże prędzej.

Jańcia. To ciocia weźmie na wakacje Kasię...

Władzio. Kasię? jaką Kasię? co ci tam po jakiejś Kasi.

Jańcia. Tę małą Kasię, co tu mieszka na dole i taka jest mizerna, i na kolonie jej już nie przyjęli, bo miejsca brak... i ja jej już obiecałam... bo byłam pewna... i ona się tak cieszy...

Ludka (*dosadnie*). Nigdy nie trzeba obiecywać przed czasem.

Antoś (*szorstko*). Wszyscy to wiedzą bez ciebie — mogłabyś znaleźć coś innego do powiedzenia, żeby Jańcię pocieszyć — widzisz jak jej przykro.

Jańcia. Bo ona się już tak cieszy...

Władzio. Ach, to pewnie ta mała, co stała w bramie, gdyśmy wracali ze szkoły, i pytała się naszej kucharki, czy panna Jańcia już wróciła.

Jańcia (*załamując ręce*). Pytała się?... bo ona wie, że to dziś dzień rozstrzygający, ja jej obiecałam, że ją zaraz zawołam na górę.

Władzio (*pocieszając ją*). Nie martw się Jańciu; może na przyszły rok lepiej ci się uda.

Jańcia (*z westchnieniem*). Tak, ale Kasi ciężko będzie czekać cały rok.

Ludka. Eh, nie jeździła dotąd nigdy na wakacje, to jeszcze i teraz wytrzyma. A zresztą o czym tu mówić, kiedy się to już nie odmieni.

SCENA 4 ta.

Ciż sami. Marcinowa.

Marcinowa (*w białym fartuchu, uchyla drzwi od pokoju*). Panna Jańcia jest?

Antoś. Jest, jest — a czego to Marcinowej trzeba?

Władzio. Pewnie jeszcze drzewa do obiadu — bo Marcinowej wiecznie drzewa brakuje.

Antoś. I masła także.

Władzio. Jak ja będę miał kiedyś dużo pieniędzy, to kupię Marcinowej w prezencie na imieniny cały ciąg drzewa i trzy faski masła — dobrze?

Marcinowa. Ej, niech panicze nie zabawiają, bo z tych obiecanek jeszcze mi się kotlety spalą i co będzie na obiad?

Antoś (*żartobliwie*). Papryka faszerowana, doskonała potrawa, tylko Marcinowa podawać tego nie umie.

Marcinowa (*obrażona*). Co nie umie? Marcinowa

wszystko umie — i z mięsa i z jarzyn i z legumin — tylko paniczowi trudno dogodzić, ale ja tu nie przyszła słuchać grymasów, tylko powiedzieć, że tam Kasia na dole o Jańcię się pyta.

Jańcia. Kasia!

Władzio. I cóż jej teraz powiesz?

Jańcia. A cóż mam powiedzieć? muszę powiedzieć prawdę, ale jak ona się zmartwi!

Ludka. Ale im krócej się będzie uwodzić próżną nadzieją, tem lepiej — idź powiedz jej, że to trudno...

Antoś. Że może na przyszły rok...

Jańcia (*idzie ku drzwiom a potem się cofa*). Kiedy nie mogę, naprawdę nie mogę — tak mi przykro i tak się wstydzę! — (*patrzy na rodzeństwo*). Może który z was jej powie.

Ludka. To niech Marcinowa przysze ją tu, my jej to jakoś powiemy. (*Marcinowa wychodzi*).

Jańcia. Żeby nie to niemieckie utrapione! taka przykreść!

(d. c. n.)

Dzienniczek Wańdzi.

(Dalszy ciąg).

Antolek aż się rozplakał i zaczął mnie ścisnąć i przepraszać, ja naturalnie za szyję go schwyciłam, bo go bardzo kocham i tak długo ścisaliśmy się, aż śmiech powrócił.

Ale musiałam długo krążyć koło ojca, zanim znów był dla mnie takim, jak zawsze, tak mu było przykro widzieć mnie w złości.

W poniedziałek wujostwo zabrali mnie i Antolka do teatru Chatelet na śliczne przedstawienie, dawali Robinsona Kruzoel! jak to było pięknie! Okręt wjeżdżał na scenę! Dzieci było co niemiara. Ja to usiedzieć na miejscu nie mogłam, ciągle skakałam. A jak wszedł na scenę Piętaszek, to oboje z Antolkiem zapomnieliśmy, że to teatr i że mnóstwo obcych Francuzów, tylko wykrzyknęliśmy, zwracając się do siebie:

— Piętaszek! Wszyscy starsi z łóż na nas spojrzeli i śmiali się, ale ja już o tem nie myślałam, tylko patrzyłam na scenę.

Przez całą drogę z powrotem do La Barre ciągleśmy sobie z Antolkiem o tem przedstawieniu rozmawiali, a potem znów od początku musieliśmy opowiadać Antoninie i Stasiowi.

Podczas całej kolacji Antonina, przynosząc półmiski z kuchni, dopytywała się o rozmaite szczegóły z przedstawienia.

— Wandeczko, a czy Piętaszek na tyatrze jadł solone mięso?

Zwykle służba nie mięsza się do rozmowy, ale na obczyźnie pocziwa Antonina uważa się jakby za krewną, bo jest już 11 lat u cioci i wszystkich nas pamięta prawie w pieluszkach, więc mówi po imieniu. A już najwięcej kocha Stacha, bo się przy niej urodził. My też ją bardzo kochamy, taka dla nas dobra.

Po obiedzie, który w La Barre dają w południe, idzie z nami gdzie daleko na łąki, albo do sąsiedniej wsi na *fetę*, to znaczy na jarmark.

Ach, jakie to zabawne taka feta! Pełno katarynek i innej muzyki, karuzeli, teatrzyków dla dzieci, zabawek, puszczalek! Każdy gra na jakimś instrumencie, co czyni hałas nie do opisania. Przy karuzeli grają walca, na katarynce marsylianke, chłopcy gwizdzą *la revue*, aż uszy pękają.

Antolek jako chłopiec, ogromnie lubi chodzić na fety, ja nie bardzo, ale na karuzeli lubię jeździć. Antolina wcale nie chodziła do szkoły, bo podobno u nas nie jest w zwyczaju, aby lud się uczył, co mnie dziwi, tem bardziej więc nie może umieć geografii i dla tego mięsza w okropny sposób zasłyszane nazwiska różnych miejscowości. Nie raz do mnie mówi:

— Jak Wandeczka pojedzie w te dzikie kraje do tych Austryaków do Egiptu, to te Arabcy jeszcze gotowi cię zabić. Takie cygany to podobno na nic nie *baczą* tylko zabijają. Jak byłam w Koninie z naszą wielmożną, to tam takie pogany raz byli w mieście, a ja taki miałam strach, żeby mnie ino nie oczarowali, żem wcale na ulicę wyjść nie chciała, aż pani powiedziała, że ona znowu ma taką moc w sobie, co cygan nie ma do niej dostępu.

Antolek jej nieraz tłumaczy, ale ona nie zawsze chce wierzyć, a częściej jeszcze wszystko pomyli. Ale zawsze już o wielu rzeczach ma wyobrażenie, nie tak jak wprzód. Bo nawet robiła cioci Kostuni gorzkie wyrzuty, że nie pozwala jej pojechać obejrzeć wystawy.

Ale my ją wszyscy bardzo kochamy, bo zacy ma charakter. Myślę sobie nieraz o naszym Filipie, co tam robi bez nas. Jak odprowadzał nas na kolej w Cherbourg, to łzy miał w oczach i mówił: *Et ben! Monsieur, Madame et mademoiselle, bon voyage!* Przed tatusem stanął frontem, po żołniersku, ale do mamusi schylił się i pocałował w rękę; on tego nigdy nie robił, więc mu to nie poszło zgrabnie, ale znać, ile w tem było uczucia. Mnie pocałował, nie było mi to wcale przyjemne, ale on był sam tą swoją śmiałością tak zmięszany, że nie mogłam mu tego brać za złe; zawsze to świadczy, że się do mnie także przywiązał; lepiej, że mnie pocałował, niż gdyby mnie nie miał wcale żałować.

(d. c. n.)

SZARADA.

dla mamy od Frani K.

Pierwsze znajdziesz w alfabecie,
Wspiera słabych drugie, trzecie
Wszystko morza oblewają
Lody, śniegi pokrywają.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

od Powójki dla Srebrnej Gwiazdki.

. Zastąpić kropki literami, aby rząd
. pierwszy oraz pierwsze litery złożyły
. nazwę zjawiska w przyrodzie. Rząd 2)
. Jarzyna z rodz. krzyżowych. 3) Pora roku.
. 4) Owad z rodz. łuskoskrzydłych. 5) Zaimek osobowy. 6) Spółgłoska.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 31-go.

Szarady: To — masz.

Łamigłówki w kwadracie:

C	e	z	a	r
C	h	e	ł	m
D	z	i	d	a
Ż	o	ł	n	a
N	a	n	c	y



Skrzynka do listów.

Pytasz, Polny Kwiatku, co, zdaniem naszym, stanowi główną zaletę każdej, tak wiejskiej, jak miejskiej gospodyni? Odpowiem ci jednym słowem: *porządek*. On nam zabezpiecza zdrowie, przedłuża i uprzyjemnia życie, oszczędza wydatków, przysparza dobrobytu, sprawia, że najskromniejszy kącik nabiera powabu, jest koniecznym warunkiem pomyślności rodzinnej. Tę zaletę kształć w sobie zawczasu dziewczeczko, jeśli chcesz, aby kiedy w domu twoim ludzie oddychali czystym i zdrowym powietrzem, aby w nim chętnie gościli, aby każdy z niego wychodził zadowolony obrazem panującego dokoła ładu. Dziś już pomagaj matce w utrzymaniu porządku. Gdy w wolnej od nauk chwili zapaszesz fartuszek, weźmiesz w rękę ściereczkę i starannie z każdego kącika, z każdego mebelka, z każdego sprzęciku kurz zetrzesz, gdy to zrobisz nie raz jeden, dwa, dla fantazyi, ale ciągle, systematycznie, bez przerwy, nabierzesz niebawem do takiego zajęcia upodobania, razić cię będzie nieporządek i niedbalstwo, aż z czasem staniesz się staranną i skrzętną gospośnią, o której mówi Pismo Święte: „Mądra niewiasta buduje dom swój” dodając: „niedbały zbudowany rękoma zepsuje.”

Żalujemy bardzo Cesiuniu R., że tak spóźniłaś się z przysłaniem kaligrafii twojej na konkurs, który już dawno został rozstrzygnięty. Nie straciłaś jednak wprawiając się w kształtne pismo i tem większe będziesz miała prawdopodobieństwo otrzymania nagrody na przyszłorocznym konkursie, jeśli zechcesz do niego nadeśłać i będziesz się pilnowała z nadesłaniem próbki twego pisma na termin oznaczony.

Topolka odzywająca się listownie do Jaskółki, czekać musi na jej odpowiedź do jesieni. Jak już bowiem kilkakrotnie wam donosiliśmy, kochana wasza ptaszyna wyfrunęła z murów miasta i zbiera po świecie ziarenka miłych wrażeń, z którymi podzieli się z wami za powrotem. Niechże w spokoju używa wiejskiej ciszy i swobody, tak potrzebnych dla pokrzepienia sił po całorocznej pracy!

W łamigłównie sylabowej, nadesłanej przez Władysława K do Stanisława Or. pierwszy wyraz nieprawidłowo napisany; je dną literę wypada wyrzucić, co pociąga za sobą potrzebę zmiany całego układu zadania.

Sprostowanie. W dodatku Nr. 29, w łamigłównie arytmetycznej zamiast: $\frac{1}{4}$ 129, powinno być: $\frac{1}{4}$ 128.

W 6-cio klasowym progimnazjum żeńskim

z Pensjonatem i klasą przygotowawczą

S. TOŁWIŃSKIEJ

Chmielna 48 w Warszawie

egzamina rozpoczynają się d. 1 Września, kurs nauk d. 4 Września